

## Rozdział 1

### *Niekochane dzieci*

**Dawid**

Zakochałem się.

Czy, aby poczuć coś takiego, wystarczy dziesięć sekund? Tyle bowiem trwała chwila, gdy spoglądaliśmy sobie w oczy.

Zauroczyły mnie brązowe tęczyówki, długie rzęsy, łagodne łuki brwiowe o naturalnym kształcie i ciężkie powieki nieznajomej. Jej spojrzenie było krótkie, ale jakże uważne! Kiedy stała przede mną w kolejce, czułem jej delikatny zapach. Nie ciągnęła za sobą smugi ciężkich perfum, jak niektóre kobiety. Pachniała lekko, świeżo i delikatnie, przywodząc na myśl wiosenne kwiaty.

Uroda obcej dziewczyny tchnęła wyrafinowaną subtelnością madonny – nie była agresywna i krzykliwa. Podziwiałem delikatne, nieco asymetryczne rysy, ładnie wykrojone usta o uniesionych w górę kącikach nadających jej twarzy pogodny wyraz oraz gęste, ciemne, długie do połowy pleców i lekko falujące włosy. Najbardziej jednak zafascynowały mnie filigranowe przeguby rąk i kostki u nóg – dzięki nim młoda kobieta przywodziła na myśl kruchą, porcelanową laleczkę.

Poruszający był głęboki smutek, który dostrzegłem w jej źrenicach. W chwili, gdy skierowała na mnie wzrok, poczułem, jakby zajrzała mi w głąb duszy.

Usta podkreślone delikatnym błyszczkiem wyszeptały:

– Przepraszam.

Jedenaście sekund wcześniej nadepnęła mi na stopę.

Później odwróciła się w stronę kasjerki, aby zapłacić za swoje zakupy. Pochłonięta prozaicznymi czynnościami, jakie zazwyczaj odbywają się przy kasie, nie zauważyła, że obudziła we mnie głęboko uśpione uczucia, o istnieniu których nawet nie miałem pojęcia.

Obserwowałem, jak pakuje sprawunki i podaje kasjerce kartę płatniczą. Chciałem zobaczyć, jak się nazywa. Niestety ekspedientka zasłoniła kciukiem prawie całe nazwisko i imię. Odczytałem tylko: „Kl...ak”, czyli prawie nic.

Klara? Klementyna? Klotylda?

Wcześniej chodziłem za nią krok w krok po całym sklepie, niemalże od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczyłem. To głupie, wiem. Do tej pory nie zachowywałem się w taki sposób, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku. Dostrzegłem w tej kobiecie coś, co natychmiast zapragnąłem uwiecznić. Byłaby wspaniałą modelką. Chciałbym kiedyś wyrzeźbić te harmonijne kobiece kształty.

Nie miałem odwagi, aby ją zagadnąć. Usta odmówiły mi posłuszeństwa. Ostatnim przebłyskiem świadomości zapłaciłem za paczkę chipsów – jedyny produkt, który wrzuciłem do koszyka, aby móc stanąć za nią w kolejce do kasy (choć miałem w kieszeni całą listę zakupów) i wybiegłem na parking skąpany w promieniach sierpniowego słońca.

Całe szczęście, że to nie był hipermarket, a zwyczajny wiejski sklep z kilkoma miejscami postojowymi. Odnalezienie dziewczyny wzrokiem nie nastręczyło mi żadnych trudności.

Dostrzegłem ją, gdy zamykała bagażnik wysłużonego volkswagena golf. Nagły podmuch wiatru rozwał jej bujne włosy. Cóż to był za widok, gdy w brązowych pasmach odbiły się refleksy popołudniowego słońca! Nieznajoma odgarnęła niesforne kosmyki na bok, a później wsiadła do samochodu. Zanim odjechała, zdążyłem zauważyć, że samochód miał kra

kowskie numery rejestracyjne. Odetchnąłem z ulgą – nie będę musiał szukać jej po całym świecie. Bo w to, że jej poszukam, nie wątpiłem.

– Kim jesteś? Skąd się tu wzięłaś? Przypadek? Czy może zabłądziłaś w te strony na dłużej? – zapytałem ją w myślach, patrząc, jak znika za zakrętem.

Spoglądałam na paczkę chipsów w ręce i wzdycham. Dopada mnie proza życia – miałem zrobić zakupy.

Odwracam się, aby pchnąć przeszkłone drzwi i widzę w nich moje odbicie zniekształcone przez szkiełko na szybie. Od razu przypominam sobie powód, dla którego nie zdobyłem się na odwagę, aby zagadnąć tajemniczą brunetkę.

Jak na trzydzieści cztery lata wyglądam raczej staro. Wokół szarych oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki. Siwieją mi włosy – to mnie chyba martwi najbardziej, ponieważ za mocno poskręcanymi długimi pasmami ukrywam nieciekawą twarz. Nie jestem przystojny. Nawet nie jestem przeciętny. Mam za duży nos z niewielkim garbem, licznie i bardzo głębokie blizny po wyjątkowo powikłanej ospie, którą przechodziłem jako nastolatek. Ciężko opadające powieki nadają mi wygląd wiecznie zaspanego. W moim obliczu nie ma absolutnie nic interesującego. Gdybym miał kiedyś strugać figurę Judasza, byłbym dla samego siebie najlepszym modelem.

Nigdy nie miałem powodzenia wśród dziewczyn. Odkąd sięgam pamięcią, charakteryzowałem się nieśmiałością. Później, po chorobie, było jeszcze gorzej. Blizny skutecznie udaremniały moje kontakty z płcią przeciwną. W czasach szkolnych dziewczęta potrafiły okrutnie ze mnie kpić. Zasłaniałem twarz włosami – czułem się wtedy lepiej. Czasem chciałem stać się niewidzialny, lecz przy moim nieprzeciętnie wysokim wzroście jest to zupełnie niemożliwe. Być może właśnie dlatego Mariusz Kubas wybrał mnie na swojego przyjaciela – potrzebował kontrastu. W tym akurat jestem dobry, ponieważ gdy stoimy ramię w ramię, to on przyciąga spojrzenia kobiet, chociaż jest o głowę niższy i raczej wąły.

Pierwszy raz w życiu myślę, że chciałbym go choć trochę przypominać. Bylebym nie był pustogłowym matosem, gdyż Kubas często potrafi zaskoczyć mnie bezdenną głupotą.

Może wtedy miałbym jakąś szansę u tamtej dziewczyny?

Dlaczego się z nim przyjaźnię, skoro uważam go za matosa?

Nie wiem. Z przyzwyczajenia, wygodnictwa (mieszkamy blisko siebie), całe życie obok, razem w szkolnej ławce, te same fascynacje (przynajmniej niegdyś), wspólne przygody... Po prostu nie wiem.

Wchodzę do sklepu. Z kieszeni spranych jeansów wydaję pogniecioną kartkę z listą zakupów. Mam niewielkie pojęcie o prowadzeniu domu. Skupiam się na zarabianiu pieniędzy i ułatwianiu życia nie najmłodszej matce. Staruszka dba o mój żołądek i inne potrzeby. Nieustannie suszy mi głowę, że powinienem poszukać sobie jakiejś miłej dziewczyny (ostatnio *dziewczyna* coraz częściej bywa zastępowana *kobietą*) i założyć rodzinę, bo przecież ona nie będzie żyła wiecznie.

Mama nie ma konkretnych oczekiwań co do potencjalnej synowej. Nie musi być piękna, ponieważ jej zdaniem ładne dziewczyny są próżne. Bogactwo ani zaradność też nie są ważne. Byle była mądra i

sympatyczna. Ona nie znosi głupoty, a ponadto nie wyobraża sobie, abym przyprowadził jakąś jędzę do domu, który, jako najmłodszy z czterech braci, dziedzicę po rodzicach.

Nie przestając myśleć o nieznajomej brunetce, machinalnie wkładam do wózka kolejne produkty z listy. Powtarzam w myślach numer rejestracyjny jej samochodu. Na szczęście nie jest trudny do zapamiętania. To jedyny ślad, a ja wciąż czuję determinację, aby spróbować ją odnaleźć. I wiem, że gdyby los jeszcze raz postawił ją na mojej drodze, to nie zaprzepaściłbym kolejnej szansy – spróbowałbym ją zagadnąć. Nawet, gdyby miała mnie wyśmiać.

Być może dla spokoju sumienia liczę właśnie na to. Kolejny raz udowodniłbym sobie oraz matce, że moim przeznacze

niem jest samotność i nie czeka na mnie nic poza przygodnymi znajomościami oraz szybkim, byle jakim seksem.

### **Klaudia**

Od trzech dni urządzam się w nowym miejscu. W związku z pracą, którą dostałam w tej niewielkiej wsi opodal Krakowa, przydzielono mi służbowe mieszkanie w szkolnym budynku. Do zagospodarowania mam dwa nieduże pokoje, kuchnię oraz łazienkę wielkości znaczka pocztowego. Prócz tego jest tu nieduża weranda i otoczony tujami taras, gdzie w ciepłe dni będę mogła sprawdzać zadania uczniów albo czytać książki. Gdy podnoszę wzrok wyżej, ponad szpaler iglaków, widzę ciemną linię puszczy. Już cieszę się na wędrowki po wielowiekowej kniei.

Nareszcie! Po latach tułaczki będę miała własny kawałek świata. I nikt nie będzie mnie kontrolował, grzebał po moich rzeczach, zaglądał mi do chłodziarki!

Lodówka... Dobry Boże! Ktoś mógłby się popukać w czoło, widząc, z jakim promiennym uśmiechem szoruję używany sprzęt, będący na wyposażeniu mieszkania.

– Lodówka, lodówki, lodówce, lodówkę... – odmieniam wyraz przez przypadki.

Popadam w zadumę. Sięgam pamięcią wstecz, w przeszłość oddaloną o miliony lat świetlnych. Z mojej twarzy gaśnie powoli uśmiech, to nic nadzwyczajnego, nie zwykłam uśmiechać się nazbyt często.

Ja i moje rodzeństwo byliśmy notorycznie głodni. Ciotka kupowała chleb i serek topiony lub sadło, które topiła na smalec. Smażyła ohydne powidła z zielonych pomidorów. Niekiedy gotowała kapuśniak. Domowe menu sprowadzało się do kapuśniaku (dzisiaj nienawidzę tej zupy, przywołuje okropne wspomnienia z dzieciństwa) oraz kilku tanich i prostych potraw. To jedzenie zupełnie nam nie służyło. Wszyscy byliśmy wychudzeni jak szczapy.

Jako nastolatka miałam skłonności do omdleń – zdarzały mi się bardzo często i w różnych sytuacjach. Kiedyś zobaczyła to sąsiadka z góry. Ona dobrze wiedziała, co dzieje się w naszym mieszkaniu – na pewno wiele słyszała przez cienki strop i niedomknięte okna. Ciotka była zła, że ta kobieta wciąż nas podsłuchuje.

Za którymś razem sąsiadka postanowiła zainterweniować. Zeszła do nas z wyżyn swojego piętra. Rozsiadła się w fotelu i spojrzała na mnie krytycznie znad okularów.

– Powinna ją pani lepiej karmić, pani Mieciu. To duża dziewczyna i już dojrzewa. Jak będzie kiedyś żyła z chłopem? Nie da rady, nie będzie miała sił.

– A co ja na to poradzę – warknęła ciotka – skoro tak wybrzydza przy jedzeniu?! – Tutaj skrzywiła się szpetnie i zaczęła mnie przedrzeźniać. – Tego nie będę, tamtego nie będę! Jak francuski piesek!

– No, to zamiast kupować nowy telewizor, pani Mieciu, może by pani kupiła dzieciom szynkę? – zasugerowała kobieta.

Spoglądam na dłonie pokryte pęcherzami. Zdarłam je niemalże do krwi, szorując tę nieszczęsną lodówkę. Kontury kuchni rozmazują mi się przed oczami. Oddech jest niespokojny, rwie się, zaczyna mi brakować tchu. Czuję, jak przyspiesza tętno, krew boleśnie pulsuje w moich żyłach. Narasta we mnie panika.

– Nie myśleć, nie wspominać, zapomnieć... – powtarzam półgłosem mantrę.

Siadam, podciągając kolana pod brodę. Oplatom nogi rękami, skulona jak mała dziewczynka. Kołyszę się delikatnie.

– Już dobrze, już dobrze – mówię szeptem. – To przeszłość, to już nie wróci...

Mija kilka minut, nim wraca spokój i osiągam stan równowagi. Mój wzrok znowu się wyostreza, kuchnia nie jest już rozmazana. Otrząsam się z ponurych rozważań. Kiedyś na pewno przestanę wracać myślami w przeszłość – wciąż to so

bie obiecuję. Właśnie dlatego uciekałam z Wrocławia. Wodzę dookoła przytomnym wzrokiem.

Nowe mieszkanie. Nowa praca. Nowe życie.

O nowe wspomnienia postaram się niebawem.

Jodłówki leżą na południe od Krakowa. Tutaj słońce prześwieca rano zza wysokich wzniesień, strome dróżki pną się w górę, a samochód rzeźi z wysiłkiem, gdy jeżdżę po nich tam i z powrotem.

Mam nadzieję, że to wystarczy. Nie musiałam, jak Ewa, uciekać za ocean.

Bóg uchronił mnie też przed wyborem, którego dokonała Dagmara.

Stop! Nie wolno teraz o tym myśleć. Nie wolno wspominać. Nie popsuję słonecznego dnia upiorami z przeszłości.

Nigdy dotąd nie mieszkalam na wsi.

Jeszcze nie zdobyłam się na odwagę, aby wychodzić dokądkolwiek. Wyjazdy ograniczam jedynie do robienia zakupów w lokalnym sklepie. Resztę czasu spędzam na instalowaniu się w nowej kwaterze. Za całe towarzystwo wystarcza mi mój jedyny łącznik ze światem – pani Waleria, która jest woźną w szkole. Ta kobieta zdążyła mnie już zaznajomić z miejscowymi plotkami, opowiadając niestworzone historie o ludziach, których jeszcze nie widziałam na oczy. Mam tutaj kontrakt na pięć lat, to szmat czasu, więc czuję, że poznam bliżej wielu z nich.

Prócz nowinek Waleria przynosi mi także świeże wiejskie jajka od *szczęśliwych kur*. Zrobiona z nich jajecznica jest przepyszna. Pięknie wygląda: żółciutka, upstrzona zielonym szczypiorkiem i dojrzałymi pomidorami. Kiedyś, dawno temu, marzyłam o takich posiłkach: smacznych, pachnących świeżością i do syta.

Po wczesnej kolacji wychodzę na werandę. Cały dzień spędziłam na rozpakowywaniu rzeczy, teraz przyszedł czas na relaks. Zamierzam wyciągnąć się na leżaku, lecz przepięk

na łąka rozpościerająca się za szkolnym terenem przyciąga mój wzrok i kusi do przechadzki. Z dala dostrzegam ścieżkę wijącą się pośród morza traw i ziół oraz kładkę rzuconą na migotliwą wstążkę strumienia.

Wracam na chwilę do mieszkania. Zmieniam przykurzone jeansy i koszulę na lekką indyjską sukienkę. Uwalniam włosy z ciasno zawiniętego koka. Teraz jestem gotowa do wyjścia.